

TYGODNIK  
WILEŃSKI

---

Ner 115.

---

*Dnia 31 Maja 1818 roku v. 5.*

---

PIELGRZYMOWANIE LEMIERRA,

Albo PIERWSZY DZIEŃ MIESIĄCA

Powieść z Fran: P. DE BOUILLY.

**J**EŻELI przez intrygę i przy protekcyi niektórych stronnicych towarzystw, można niekiedy wystąpić na świat z zaletą i zyskać znikomą sławę, którą czas sprawdza i rychło niszczy; istotny talent stroniąc od takowego utworu próżney chwały, bezczelnym i miernym tylko w sztuce właściwéy; gardzi płatnemi wielbicielami, co za sługę złotem cenią; a nad świetnych zgromadzeń pochwały i modnych trzpiotów poklaski, przekłada spokojną rozwagę w samotności i szczerego przyjaciela rady. Taki był sposób myślenia Lemierra, tego literata, który bez żadnego wsparcia prócz sił własnych, bez innéy pomocy prócz własnéy pracy, a w ostateku bez innych fortuny darów prócz śmiałości i niepodległości;

osiągnąć potrafił byt pelen zaszczytu i krzesło akademickie.

Przyjemnego w pożyciu charakteru, nadzwyczajnéj prostoty obyczajów, jednający mu wielu przyjaciół; nigdy Lemierre nie pozazdrościł powodzeniu ubiegającego się w równym z nim zawodzie, nigdy na zasłużoną nie targnął się wziętość, nigdy jak tylu innych, nie dąsał się ustawnie na piszących, aby własną ukryć nieudolność. Przejęty całą godnością poświęconego naukom człowieka i oddany bez przestanku wierszopisa zapałom, nie jednokrotnie w młodości swojej zaniedbywał silnych protektorów, nieraz z wydarzeń losu korzystać nie chciał, aby jedynie zajął się lubemi zatrudnieniami, aby drogę przedsięwziętą, tém bardziéj z przyzwoitą jéj odbywał chlubą.

Ztém wszystkiém był on jedyną podporą naylepszéj i nayszanowniéyszéj matki, ugiętéj pod ciężarem nieszczęść, które on umiał osładzać z taką gorliwością i przywiązaniem, że za wzór naylepszych synów mógł bydz wystawiany. W młodych jeszcze latach, w skromném mieszkaniu ukryty Lemierre w Paryżu na opatrywaniu swoich niezbędnych potrzeb przedstawiał, iżby przeto mógł utrzymywać tę, którój życie był winien. Nie raz slyszalem tego szacownego literata, opisującego

z przyjemném wspomnieniem piérwsze chwile zawodu swego, które uważał za najszcześniejsze dni życia, i upewniającego nas, że w téy porze nie więcéy nad 25 soldów na dzień, cały wydatek jego wynosił. W ówczas pisma jego przynosiły mu około 1,200 franków, wiele odebranych nagród w rozmaitych Francyi akademijach, drugie tyle przez lat kilka mu robiły. Mógłby on jak tylu innych jego współtowarzyszów pokazać się na świecie z zaletą, przeznaczyć cóś więcéy na swoje potrzeby, jeżeli nie na rozrywki; ale Lemierre miał zawsze w pamięci, że w Willier-lebel, nie daleko Ekuen, żyła jego pięćdziesięcioletnia matka, nadto wyniośle myśląca, by go miała o co prosić, ale też zbyt kochająca, by mogła odmócić to czcigodne z ręki syna wsparcie. Było więc zwyczajem jego, nieść piérwszego dnia każdego miesiąca téy kochanéj matce, owoc całomiesięcznéj oszczędności, to jest koło 60 fran.; to wystarczało na dostateczne w piękny wiosce, w której mieszkała życie i uwalniało ją od ręcznéj na utrzymanie się pracy. Ztém wszystkiém niechcąc nadużywać hojności syna, chociaż nie znała po większój części ofiar, na które się dla niéy narażał, ograniczała się z swojéj strony w skromném mieszkaniu, i sama bez służący, całém swoim drobném gospodar-

stwém zajmowała się. Ileż to jéy wydatki były ograniczone, ileż oszczędność jéy była skrzętna! Z jakąż roskoszą we wszystkim skąpiła dla siebie, aby ile można uczcić kaźdomiesięczną przytomność tego dobrego syna, który nieodmiennie czy w srogiéy porze, czy wśród skwarów słońca, przychodził do Willier-le-bel, około dziesiątę zrana, po cztetógodzinny przechadzce, żalując nawet sobie małego wydadku na najem powozu od Saint Denis, niechając nic ująć z przeznaczony ofiary. O jakżeż to powidanie było przyjemne i wzajemne zachwycenie przynoszące! Jakże prędko Lemierre zapominał o swoim znużeniu, gdy zroszone łzami oczy matki, zwracały się ku niemu, gdy ramiona jéy przytulały go do łona, którym się karmił w niemowlęctwie! Jakżeż z małym swym skarbem był wówczas bogaty i jak pierwszy z pism jego dochód, drogim dlań się stawał.

Cały ten dzień zwykle dla matki był poświęcony. Część onego przepędzał w ogródku polewając kwiaty, to znosił potrzebne do kuchni lub opału drewna, lub wodę przyspasabiał. Wieczorem rozmowa nayprzyjemniejsza, a często nayweselsza rozpoczynała się; ożywiała się pod czas wieczerzy choć skromny, ale jakiéy jednak Lemierre, nie zawsze sobie i w Paryżu

pozwał: nakoniec po najszcześliwszém nocu, po śnie nayspokojniéyszym, nasz podróżny uderzony uściśnieniem i tysiäcznemi błogosławieństwami matki, puszczał się w drogę i powracał pieszo do stolicy, aby się do nowéj pielgrzymki w następnym miesiącu przysposobił.

Lat kilka tym sposobem upłynęło, kiedy pycha, która i w nayprostsze wkrada się serca, natchnęła naszemu poecie zamiar, sprawiedliwy zapewne, przydania swéj matce jakiéj dóbrey niewiasty, któraby uwolniła ją od większych robot i pilnowała w przypadku choroby, ale na to trzeba było podwoić prawie sumę, czego bez nowych dla niego wydarzonych wydatków, uczynić nie mógł. Los spełnił życzenia jego. Poema o *Państwie mody*, i drugie o *handlu*, zjednały mu nagrodę poezyi w akademii francuzkiéj, stawiając go w rzędzie młodych pisarzy, czyniących nadzieję istotnego wsławienia się. Z jakiémże uniesieniem poniósł on swéj matce hold nowych laurów! Zaledwo słońce piérwsze rzuciło promienie, już był w podróży i pięć mil francuzkich z Paryża do Willier-le-bel, we trzech uszedł godzinach. Było to w Sierpniu, i upał był dokuczający. W śród drogi między Pierrefitte i Sarcelle, idąc przy dopiekającym słońcu, cały oblany potem i okryty pyłem, napotyka dwóch swoich

współtowarzyszów Barta i Riwarola, którzy w przepysznym pojeździe z zamku Ekuen powracali. Ci zatrzymują się dla złożenia nowo uwieńczonemu należnych powinszowań z podwójnego tryumfu, zapytując razem, jak może w taki upał iść pieszo i sam jeden? To mój zwyczaj, odpowiada Lemierre, oddawna już postanowiłem, co miesiąc odwiedzać pewną niewiastę nader dla mnie drogą i bez zatrzymania się od Paryża iść.— A, rozumiem, rzecze Barte, przyjaciel zabaw i zalotnych zdarzeń, to zapewne jaka piękność, której hołd twych wieńców masz złożyć! — Ale, przyjacielu, odezwie się Riwarol, z satyrycznym i przycinkowym tonem, który mu był właściwy, wawrzyny akademickie częstokroć zbyt ciężką, i do twojej piękności może nadto zmerdowany przybędziesz! — To prawda, mówi Barte, powinienbyś był przynajmniej wziąć mały pojazd, aż do Saint Denis. — O nie! odpowiada z prostotą uwieńczony poeta, byłoby to dla niej mniej piętnastu Soldami! — To rzekłszy, porzuca ich, i dalszą przedsięwzięcie drogę. — Mniej piętnastu soldami! powtarza Riwarol, to nie wielkie o jego damie robi wrażenie! — Obaczysz dodaje Barte, że to jakaś piękna wioskowa twarzy czka, jaka ładna mlęczarka z tych okolic, która raniła niezwykłego moralistę! Ma on talent bez wątpienia; ale prosty w swym

sposobie życia i stroniący ustawnie od zabawy; a do tego, co za surowość obyczajów, co za przesada w pryncypiach!... Kiedy się makowym wieńcem wierszopis okrywa, na próżno mu udzielają wawrzynów. Nudzi on, niczego osiągnąć nie potrafi, i pieszo drogi odbywać musi.

Gdy te przyjemne trzpioty, znakomite podpory Epigrammatu i Satyry, dalszą odbywają podróż przebiegając pamięcią towarzysztwa, w których z zachwyceniem ich słuchano, reputacye przez nich utworzone lub zniszczone, i kobiety w końcu zbyt czułe do rospaczy przez nich przywiedzione, prosty i skromny Lemierre, przybywa do Willier-le-bel, i podwaja świetność laurów swoich, ofiarując je matce. — Są one mi tém droższe powiada do niéy, że nakoniec pozwalają wykonać zamysł, jaki od dawna ułożyłem przynosić ci matko co miesiąc dwa razy większą summę jak dotąd, ale to z warunkiem przyjęcia dobrej gospodyni, któraby czyniła matkę posługi odpowiadające jéy wiekowi i dawnym namiętnościom. — Pani Lemierre wzbraniała się przyjmując tę nową ofiarę, którę się roztropność przeciwiała. Zawód literacki, mówiła do swego syna, jest dość niepewny; dziś skutek pomyślny stawia cię w możności czynienia dobrze, a jutro nieprzewidziany upadek, odjąć ci ją może! — Nie

zaprzeczam tego, odpowiada poeta, ale póki to nastąpi, pozwól mi używać z rozkoszą pierwszych powodzeń, pozwól niech moje starania przywrócą ci byt dawniejszy, któryś przez nieszczęśliwe utracił zdarzenia, a nadewszystko przez niewyliczone ofiary, jakieś dla mojego czyniła wychowania. Ponieważ rola twojemi uprawioną rękami, żyzną się staje, słusznaby pierwsze z onéy plody tobie należały. — Kończąc te słowa klęka u nóg rozczulonéy matki, składając pięć luidorów do jéy wolnego rozrządzenia z upewnieniem, że co miesiąc podobną przynosić będzie sun.mę.

Los zdawał się sprzyjać takiemu poświęceniu się i miłości. Dwa nowe Poemata ustaliły więtość autora i nowe mu laury akademickie przydały. Wkrótce Trajedye *Hypermnestra* i *Wdowa z Malabar*, tak wielki miały napływ widzów, że Lemierre nie tylko był w stanie przynosić swéy matce po 120 fr. na miesiąc, ale nadto kupił nie wielki domek, w którym mieszkała. Upięknić ony, powiększyć i rozszeszyć ogródek, było pierwszém jego zatrudnieniem; a szanowna matka nowéy nabyła pewności, że do śmierci tę przyjemną zachowa ustroń, gdzie dopóki tylko żyła, nigdy syn zwyczajnych co miesiąc nie chybił odwiedzin. Sam Lemierre już odtąd zajął wygodniéjsze w Paryżu po-



mieszkanie, zdolne do przyjęcia znakomitych osób, które go dla talentów i dla przymiotów moralnych odwiedzały. Wtenczas uczuł konieczność pokazania się na wielkim świecie, ale bojąc się postradać tego, co przez usilną pracę i wytrwanie nagromadził, każdego razu, niosąc matce zwyczajną ofiarę, przydawał i te dochody, które ciągle wziętość dzieł jego zjednywała, radząc jęj iżby użyła tych funduszów na nabycie małego folwarku, któryby w przypadku iżby on wczesniéy umarł zapewnił jęj intratę dostateczną na zachowanie tych wygód, jakie miło mu było jęj udzielać.

Pewnego dnia, kiedy podług zwyczaju swego szedł do Willier-le-bel, napędza go wesóły Barte w wykwintnym stroju, lecący w bogatym ekwipażu do zamku Ekuen, gdzie w ówczas najsławniejsze z Paryża zbierało się zgromadzenie — Co widzę! wszak to ty mój kochany Lemierze! czy można, zawsze pieszo i w takiéy niepogodzie. — Przywykłem już do wszystkich nieprzyjemności powietrza, do wszystkich przemian pór roku — Ale jakżeś zmoczony i błotem okryty, to dobrze dla autora pogardzonego, ale tobie, którego Melpomena najsławniejszemi okrywa laurami!... Deszcz im nieszkodzi. — Dokądże idziesz? — do mojego małego domku w Willier-le-bel. — A ja o dwa tylko kroki daléy do pałacu Ekuen. — Po-

sluchay, siadz do mego pojazdu, czyli raczej do pojazdu przez Xżę D. mnie pożyczonego. — Dziękuję ci, ja zawsze moją tu podróż pieszo odbywam. — Rozumiem, podróż miłosną; o twoja miłość musi być bardzo silna, kiedy tak uciążliwą przymusza odbywać podróż. — Wyznaję, że przywiązanie moje chyba równo z życiem się skończy. — Otóż złapany jesteś przecie wielki moralisto, coś ciągle gardłował przeciw roskoszy. Na honor, nieskończenie się z tego cieszę. Ale raz jeszcze powtarzam, siaday, wiozę cię do Willier; witasz na przędce, twoją kochankę, które wnet każe twe suszyć odzienie; stroisz się nieco; leciemy do Ekuen, gdzie z radością przyjmują uwiecznzonego poetę, gdzie każdy winny mu hold składa. — Dziękuję ci nieskończenie, świetne posiedzenia zawracają mi głowę, i nie bym tam wśród was nie widział! — Bądźże więc zdrow i śpiesz gdzie cię miłość wzywa! — a ty gdzie cię roskosz czeka.

Tego razu nad inne Lemierre bardziéy bawił się z omyłki Barta, i gardząc powiększającym się deszczem, przybywa do swéy matki wskrós przemokły i nacyzuléy od niéy jest widziany. Już była przyjęła stosownie do życzeń syna na gospodynię biedną wdowę, którój szczebiotliwość i prosta wesolość zaciery nie przyjemną i śmieszniejszą powierzchowność. Ta razem z Pa-

nią swoją przybyłemu Lemierowi pełne uprzejmości czyniła przyjęcie. Ona winną jemu była spokoyność i szczęście przy schyłku życia swego; nie było też ani jednego w téj wiosce mieszkańca, któremu by nieopowiadała codzien ile ten syn szanowny dla matki, a przeto i dla niéy saméy czyni.

Lemierre przynosił matce sto luidorów owoc ośmiu ostatnich reprezentacyi *wdowy z Malabaru*. Nigdy większego przychodu jeszcze z teatru nie był uzyskał i summa ta dopełniała zupełnie tę, którą Pani Lemierre mieć życzyła na zapłacenie folwarku w imieniu syna nabytego. Z niewypowiedzianą więc radością, powiększyła chowany zbiorek, w nadziei oddania go nazajutrz Notaryuszowi o pół mili od Willier mieszkającemu. Tymczasem piękna pogoda zastąpiła miéysce deszczu, a promienie słoneczne osuszyły powierzchnię ziemi. Lemierre poświęcił resztę dnia na zbieranie owoców jesiennych, na znośzenie ich do składu owocowego, na przygotowanie drzewek do odnowienia szpalerów, a nadewszystko na opatrywanie najstaranniey maléy oranżeryi w głébi ogródka założonéy, która dostarczała jego matce włoszczyzny w zimie, a kwiatów we wszystkich porach roku.

Nakoniec noc w tym czasie śpiesząc

coraz prędzėj okryć horyzont swoją pomro-  
ką, nasz poeta bardziėj utrudzony dzien-  
ną w ogródku pracą, jak nie wygodną po-  
dróżą, powraca do swéy matki, a w ten-  
czas rozpoczyna się wieczorna rozmowa,  
która się aż do kolacyi zabawia. Już dzie-  
sięta wybijała na zegarze miéyscowym,  
już Pani Lemierre pomimo rokoszy, jaką  
w przedłużaniu tego przyjemnego wieczo-  
ra znaydowała, miała do swego sypialnego  
oddalić się pokoju, gdy nagle pojazd za-  
trzymuje się przed domem i kołatanie sły-  
szec się daje. Był to Barte, który po-  
mimo ciemności nocy przybył z Ekuen do  
Willier, gdzie łatwo dopytał się o domek  
Pana Lemierre. Na widok staréy gospo-  
dyni otwierającéy drzwi, zdało się Barto-  
wi, że oglądał jednego z tych strasznych  
argusów, jakich podeyrzliwość i zazdrość  
stawi zwykle na straży przy młodéy pię-  
kności. — Czy można gdyby surowy mo-  
ralista, tak był zazdrośny, powiada do  
siebie, przytomność moja i reputacya do  
reszty go przestraszą. Za przewodem sta-  
ruszki dochodzi, aż do drzwi małego ba-  
wialnego pokoju, pałając chęcią obaczenia  
piękności, dla którój poeta na ciągłą po-  
święcił się pielgrzymkę. Wchodzi i znay-  
duje go obok sześćdziesięcioletniéy niewia-  
sty, którój kornet i staroświecki ubiór,  
bynaymniéy nie odpowiadają oczekiwaniu

ciekawości jego. Lemierre postrzegłszy jego zadziwienie wskazuje mu swoją matkę jako tę, która przedmiotem była jego każdomiesięcznych podróży, a przeto wzbudza w nim uśmiech z popełnionego błędu i zarumienienie z niesłusznych posądzeń. Barte śpiesząc z uwiadomieniem o celu swojej wizyty, donosi, że wdawszy się nie roztropnie w grę hazardową w zamku Ekuen, stracił nie tylko złoto jakie miał przy sobie, ale nadto pięćdziesiąt luidorów na swoje słowo, i że przybywał prosić otwarcie Lemierre o pożyczanie mu ich. Wierzyciel mój dodaje, jest Sekretarzem poselstwa i jutro do Berlina wyjeżdża, więc ani momentu zwłóczyć odpłaty nie mogę. — Chciałem naprzód udać się do niektórych znacznych osób mnie znanych, ale ci nigdy z sobą nie mają pieniędzy; inni z obrótów pieniężnych żyjący, nie pożyczają bez lichwy. Ciebie więc tylko widzę kochany Lemierze, który możesz mnie wydzwignąć z téj okoliczności honor mój dotykający. Myślałem, że świeżo od Melpomeny udarowany, łatwo mi tę summę zawierzysz, którą ci niezawodnie we dwa miesiące powrócę. Z całego serca, zawoła Lemierre, dziękuję ci nawet, że w tém zdarzeniu dałeś mi nad innych pierwszeństwo. Na te słowa, prosi swéj matki o wydanie z jéj szczupléj

kassy 50 luidorów; co ona nie bez żalu jednak uczyniła, uważając, że to zwlekąło nabycie umówionego folwarku, za który nazajutrz miała zapłacić. Barte opatrzoney w summę, powtarza swemu koledze żywe podziękowania za tak znakomitą przysługę, uprasza panią Lemierre o przebaczenie niesłychanéy pomyłki i śpiesznie się oddala.

Przyznaję się, rzecze Lemierre, iż jestem szczęśliwy, i pochlebia mi to, że mogłem przysłużyć się do tego stopnia człowiekowi w literaturze znakomitemu, jednemu z tych świetnych dowcipów, którzy zaślepieni przez niepospolitą na wielkim świecie wziętość, nie dają bacności na ukryty w zaciszy *talent*, jaki może im z ochotą przysługę zrządzić, i nabydź do ich szacunku prawa. Barte niekiedy i na mnie swe złośliwe wymierzał pociski, i z moich prostych naśmiewał się obyczajów, dziś przekonałem go zapewne, że w nich prawdziwa ukrywa się przyjaźń." Jednak mój synu, czy pewny jesteś, że te pieniądze dosyć dla nas znaczne." ... Będą powrócone? o niezawodnie; Barte jest lekki, płochy, uszczypliwy, ale człowiek honoru. Nabycie folwarku do jednego przeciągnie się tylko miesiąca, bo przypodobanie w publiczności nad wszelkie oczekiwanie moje i wdowy z *Malabaru*, od dziś do pierwszego obacze-

nia się przyniesie mi więcéy 50 luidorów; tych zaś dobrze użyłem, bo mi zyskali przyjaciela!

Tak miłą zajęty myślą Lemierre, noc całą w spokojnym snie przepędził, naza jutrz o zwyczajnéy godzinie udał się na powrót do Paryża. Dochodząc do Sen Denis, dopędził go Barte zawsze w pięknym Xżny D. pojeździe. Ten wnet się zatrzymuje, wysiada, odsyła ekwipaż, i mówi do Lemierre, uściskając jego rękę. — Ja niepowinienem byđź w pojeździe, obok idącego pieszo Lemierre; z tobą chcę drogę dokończyć, i doświadczam, że wóz wspaniały, nie wart ręki prawdziwego przyjaciela. — Idąc pospołu rozmawiają o wdziękach i pożytkach prywatnego życia i o tém znudzeniu jakiego prędcy czy późniéy się doświadcza w odmęcie wielkiego świata. — Aby tém bardziéy o tém się przekonać, każdy przypomina sobie szczegóły swojej podróży. — Wczora, rzecze Barte, przybywam ponury, i zamyślony do zamku Eku-en, zbierając jednak wszystkie sposoby zabawienia liczego towarzystwa, celowania i podobania się. — Ja, mówi Lemierre, chociaż przemokły do nitki i po pas w błocie zaszargany wchodzę pełen radości do mojej matki, a jej czulość i starania wkrótce kazaly mi zapomnieć o niewygodach podróży. — ”W obszernym w Eku-

en zamku, znalazłem tylko nudę etykiety, pychę wyniosłości, i zimne serca.” — W moim małym domku, radość jaśniała na wszystkich twarzach, i otwartemi rękoma przyjęty byłem. — ”Pomimo dokuczającego głodu musiałem czekać obiadu do piątej godziny, a wtedy nie wiedziałem co wybrać w tłumie potraw, któremi zawczasu nasycony byłem.” — O saméy drugiéy, jadłem z moją matką obiad skromny ale nayzdrowszy. — ”Z jednéy strony ogłuszało mnie szczebiotanie jednego trzpiota, z drugiéy byłem znudzony od staréy, brzydkiéy i napiżmowanéy kobiety.” — Ja z jednego boku nasyciałem się przyjemnym ptaszków w moim ogródku śpiewem, z drugiego, orzeźwiała mnie woń moich kwiatów. — ”Całą noc przepędziłem szukając co dowcipnego i nic nie napisałem.” — Ja przez dziewięć godzin spoczawszy, kilka dobrych zrobiłem wierszy. — ”Nakoniec ja na los gry narażiłem fortunę moją i mój honor.” — A ja mogłem wesprzeć pierwsze i ocalić drugie. Sądź więc, dodaje Lemierre, ścisłając jego rękę, sądz, czy słusznie prywatne pokochałem życie i czyli mam zaniedbać moją miłą pielgrzymkę!

*Ignacy Felix B....*

---



PODRÓŻE do BREZYLIJ i RIO de la PLATA  
przez JANA MAWE.

(Ob. wyżéy Ner 114.)

Za powrótem swoim do Monte-Video, P. Mawe postanowił natychmiast przypro-  
wadzić do skutku zamiar zwiedzenia Rio-  
Janeiro, brezylskiéy stolicy. Razem z wyy-  
ściem woysk angielskich opuścił Autor mia-  
sto Monte-Video i rzekę de-la-Plata dnia  
11 Września 1807. na okręcie portugalskim  
*el Vencedor*. „ Dnia 29 o wschodzie słoń-  
ca, powiada on, postrzegliśmy skały wy-  
spy świętéy Katarzyny, w kształt ostrokre-  
gu z ponadpowierzchni morza wznoszące  
się, i wysokie góry Brezylii, lasami pokry-  
te, które w głębi sceny tém więcéy wspa-  
niałości przydawały, zadziwiającemu ogro-  
mowi tak malowniczego widoku. Wydał  
mi się on tym piękniéyszym, im bardziéy  
widoczną okazywał przeciwność z nieści-  
gnionemi okiem i nagiemi równinami Bu-  
enos-Ayres. Wyspa ś. Katarzyny pod 27°  
stopniem i 19' szerokości południowéy le-  
żąca, oddzielona jest od lądu ciałną, któ-  
ra w pewnych miéjscach nie ma nad pół  
milę szerokości.

Wchodząc do portu ś. Katarzyny, ko-  
ło wielu wysp płynęliśmy, na jednéy z nich  
znayduje się twierdza Santa-Cruz. Prze-  
bywszy kilka mil na głębokości morza, we-

szliśmy w ciasne przejście strzeżone od dwóch warowni, które port formuje. Ze względu stanowiska okrętów, a bardziéj jeszcze miéysca, gdzie się wylądowanie uskutecznia, miasto bardzo piękny przedstawia obraz, uwieńczony kościołem katedralnym. Nayżywsza zieloność, urozmaicona drzewami pomarańczowemi czaruje oko. Jakiśmy tylko wstąpili do miasta, postrzegliśmy natychmiast w jego powierzchni i w sposobach obchodzenia się mieszkańców, znaczną wyższość nad tém wszystkiém cośmy dotąd widzieli. Domy są o dwóch piętrach i dobrze zbudowane; przy każdym znajduje się ogród napełniony kwiatami i warzywem. Miasto składa się z dosyć wielu ulic, i od pięciu do sześciu tysięcy mieszkańców liczy; port ma wolny. Plody wyspy, są ryż, mais, maniok, kawa, którój smak jest przewyborny, pomarańcze podobno naylepsze w całym świecie, i wielkie mnóstwo innych owoców. Zbierają też indygo i cukier, ale w bardzo małej ilości. Niezmierna różnaitość kwiatów naypiękniéyszych, jakie tylko znajdować się mogą, dowodzi płodności ziemi i dobroci klimatu; róże i jasminy cały rok tam kwitną. Powierzchnia wyspy okazuje na przemian góry i płaszczyny, a gdzieniegdzie znajdują się i błota. Grunta zdolne do uprawy, ciągle są

ulepszane; nie dawno okryte były wielkimi drzewami, które w ostatnich latach ścięto do budowy okrętów. Zbierają tu len bardzo piękny, z którego robią liny, siatki, powrozy i t. d. Na brzegach téj wyspy poławia się wiele przewybornych raków morskich i mnóstwo ryb, tak, że za jeden szyling, można dwanaście osób nakarmić.

Handel téj wyspy mało jest znaczący, ponieważ płody ziemi, nie przewyższają potrzeb konsumpcyi mieszkańców, którzy w ogólności nie są bogaci. Można ją uważać za miłe ustronie, dla kupców, którzy się już przestali trudnić interesami, dla żeglarzów, którzy opuścili służbę morską; słowem dla każdego, który zrobiwszy sobie dostateczny majątek, chce go używać spokojnie. Jest to nakoniec miéysce ożywiane widokiem licznych okrętów, które płynąc z Bahia, Ferrolambuco i innych portów Brezylji, krążą koło téj wyspy, w żegludze swéy do Rio-de-la-Plata. Mieszkańcy są bardzo grzeczni i dla cudzoziemców łaskawi; kobiety piękne, i bardzo żywe. Robota koronek nayglówniéyszém ich jest zatrudnieniem; w czém okazują wiele zręczności i gustu.

Z pomiędzy dzikich zwierząt, nayliczniejsze są: małpy i pancerniki; z gadów, różne gatunki węzów, z których jeden jest

szczególnéj piękności; a z ptaków, papugi i kolibry. Powietrze jest pogodne i zdrowe. Upały w czasie porównania dnia z nocą zwyczajne, miarkowane są od południowo-wschodnich i północno-wschodnich wiatrów, które tu stale wieją; te ostatnie w Marcu i Wrześniu, a tamte w Kwietniu i Sierpniu, co sprawia żeglugę długą i przykrą przez półowę niemal roku.

Wyspa ś. Katarzyny dzieli się na cztery parafije; Nossa-Senhora de Dereito, San Antonio, Lagano i Riberon. Gubernator ma jeszcze pod swym rządem, część lądu naprzeciw wyspy leżącego, który trzy parafije zawiera: San Jose, San Miguel, i Nossa Senhora de Rosario. Czasem zależy, od Kapitanii świętego Pawła, niekiedy zaś od Kapitanii Rio-Janeiro. Ludność wyspy i podległego jéy kraju, wynosi do trzydziestu tysięcy mieszkańców. Oprócz twierdzy Santa-Cruz, są jeszcze inne warownie, ale ta uważa się za nayobronniéyszą. Na stałym lądzie, naprzeciw miasta ś. Katarzyny, daje się widzieć piękne miasteczko San-Jose. Mieszkańcy jego trudnią się naybardziéj piłowaniem drzewa, robieniem cegieł i uprawą ryżu. Blisko tego miasteczka leży rokoszna dolina Picada, na którój rozrzucone gdzieniegdzie białe domki, otaczają pomarańczowe gajki i plantacye kawy. Wzgórki zlekka

wznoszące się w okrąg téy doliny, najpiękniejszy i prawdziwie malowniczy ukazują widok, górzystéy okolicy, która się o podal postrzegać daje. Dolina Picada i jéy przyległe, tworzą już ostatnią krajinę, przez Portugalczyków zamieszkaną; za niemi bowiem żyją srogie ludy antropofagów, których tu nazywają, Boogrésami. Dzicy ci mieszkają po lasach, w nędznych szałasach, robionych z gałęzi palmowych, które liściem bananów przewiązują. Zatrudnieniem ich jest polowanie z łukiem i strzałą, broni, którój używają często przeciw portugalczykom. Czasem gromada tych dzikich, wynalazłszy ustronne jakie mieszkanie portugalczyka, napada i całą familiją niszczy; portugalczyki też z swojéy strony wydają im straszliwe wojny.”

Nieprzewidziane okoliczności przedłużyły pobyt Pana Mawe na wyspie ś. Katarzyny, co mu dało czas zwiedzić srodek wyspy i niektóre miéysca sąsiedzkiego lądu. Ogrody na około miasta są z wielkim gustem zasadzane. Wszystkie jednak posiadłości ziemskie, chociaż bardzo ozdobnie i starannie utrzymywane, zupełnie niską mają cenę. I tak, pewien obywatel nazwiskiem *Caldouin*, majątność swoję w Barragros nie daleko San-Jose położoną, która w przestrzeni jednéy mili, zawierała najpiękniejsze plantacye pomarańczów, ka-

wy, ryżu i manioku, oprócz tego dóm i ogród gustowny, chciał sprzedać za tysiąc kruzadów, co wynosi 5,000 franków. Przyczyną tego sądzi bydz Autor, niezmiernie małą ilość cyrkulujących pieniędzy. Miasteczko Armásao o 9. mil od San - Jose odlegle, godne jest uwagi, dla tego, że ma wygodne miéysce do połowu wielorybów, których niegdys było bardzo wiele wzdłuż tego brzegu, i po zatokach. Połów wypuszczony jest w dzierżawę, przez rząd, jednéy kompanii, pod zwierzchnictwem Kapitana i wielu innych oficerów. Oprócz tego utrzymują na tém stanowisku, około stu pięćdziesięciu negrów. Zakłady potrzebne do rozbierania i rąbania wielorybów, są obszérne i dobrze urządzone. Niektóre maszyny tak są umiejętnie ułożone, że mogą weysć aż do miéysc, w których morze ma 18 stóp głębokości. Słowem ustanowienia te, przenoszą wszystko co w podobnym rodzaju w Grenlandyi lub Europie widzieć się daje.

Postępując daléy w swojéy podróży P. Mawe, przebywał krainę okrytą w części lasami i górami, a w części plantacyami kawy i ryżu, rozciągającą się po nad zatoką Dos - Gaachos, inaczéy zwaną *Tejukos*. Znalazł przy brzegu skorupę ślimaka, z rodzaju *murex*; która daje ów piękny kolor sarkarlatny tak od starożytnych szacowany,

powszechnie nazywający się purpurą. Krajo-  
wcy znają użytek jego; jeden z nich po-  
kazał Panu Mawe, frędzle jedwabne far-  
bowane w rozcieku dobytym z téy skoru-  
py: nieumieją go jednak przyprawiać. Kon-  
cha zawiera w sobie ślimaka, na którego  
ciele, znajduje się narość wypełniona sub-  
stancją żółtawą i lipką, co stanowi farbę.  
Przejechawszy potem nasz podróżny, pię-  
kne miasto portowe Groupus, którego o-  
kolice obfitują w jedwab, udał się przez  
San-Francisco, gdzie jest port bardzo wy-  
godny, na dolinę *Corritiva*. Góry, które  
ją otaczają, wznoszą się więcéy niż na czte-  
ry tysiące stóp nad powierzchnią morza.  
Jest to najlepszy powiat z całego kraju, i  
dla swojego klimatu może najpiękniejszy  
z całego świata. Na żyźnych pastwiskach  
wychowują się niezliczone trzody, a grunt  
i powietrze tak sprzyja wegetacyi, że oli-  
wy, rozenki, pomarańcze, jabłka, dziko  
niemal rosnąc, najpiękniéy doyrzewają.  
Z tém wszystkiém, nader mała liczba mie-  
szkańców téy doliny, nie odpowiada jéy  
płodności; zdaje się, iż znaczna odległość  
od główniéyszych miast, i zły stan dróg,  
jest tego przyczyną. Wiele pięknych stru-  
mieni przerzyna dolinę; jeden z nich Rio-  
Verde zawiera złoto, a Tibigi dyamenty.  
Niebezpiecznie już jest podróżować stąd  
daléy na wschód, ponieważ tam żyją ludy

antropofagów, które kilka lat temu, daleko za pierwsze ich granice odparto. Kray zaś na północ, okryty jest zupełnie lasami.

(Ciąg dalszy potém).

## R O Z W I A Z A N I E

Zadania ogłoszonego, dane w GRYMPRUM.

Towarzystwo w *Grymprum* czuwające nad dobrem i oświeceniem publiczném, podało do rozwiązania ważne i bardzo pożyteczne pytania. Zastanawiając się nad niemi, uczulem chęć odpowiedzenia żądaniom towarzystwa, lecz że pożytek stąd wynikający mam na celu, przeto opuściłem filozoficzne badania, lubo miałem większy powód na nie odpowiedzieć, czego zapewne przy wolnym czasie niezaniebam uczynić, a powodowany jedynie uczuciem ludzkości, przedsięwziąłem dać rys krótki gnębiącyród ludzki, i nader szkodliwéj społeczności choroby zwanéj *dumą*.

*Dumą* jest z rzędu chorób moralnych. Początku jéy nie podobną jest rzeczą zasięgnąć. Skoro bowiem towarzyskie związki tworzyć się poczęły, natychmiast i namiętności ludzkie znalazły pobudkę do rozwijania się. Z postępem społeczności i cywilizacyi, teź namiętności olbrzymim krokiem wzrastały, nie jako służąc za dowód jak dalece ludzie są z przyrodzenia słabémi, i



jak sami lecą w przepaść niespokojności i udręczenia. Wielu starożytnych i poważnych Pisarzy téy choroby opisanie nam podają. *Seneca* z uniesieniem o niéy wspomina a). *Valerius Maximus* przytacza przykłady na osobach téy chorobie uległych b). Wreszcie nie potrzebną rzeczą bydź sędzę, przytaczać liczny szereg Pisarzów starożytnych i nowożytnych. Każdy bowiem aż nadto jest przekonany, że kto tylko zastanawiał się ściśle nad ludźmi i ich wadami, nie zaniedbał zapewne w pismach swoich i o téy chorobie uczynić wzmiankę. Samo pismo święte, na którego powadze wspierać się godzi, wyrazami pełnemi zapału po tylekroć razy *Dumę* opisuje c).

Zjawienia się (Fenomena) téy choroby są: nadęcie całego ciała jak w wodnéy pu-

---

a) L. Annaei Senecae de Benef. Lib. II. Cap. XIII. O stultissimum málum! ut a te nihil accipere juvat! ut omne beneficium in injuriam convertis! ut te omnia nimia delectant! ut te omnia dedecent: quoque altius te sublevasti hoc depressior es, ostendisque te non agnoscere ista bona quibus tantum inflaris. Quidquid das corrumpis.

b) Valer. Maxim. Lib. IX. Cap. V.

c) Cap. XI. Parabolarum Salomonis Lib. Ecclesiastici, Cap. X. XII. XIII. Isaiiae propheticia. Cap. XIV,

chlinie, głowa podniesiona ściśle trzyma się karku, i trudna do zgięcia, wzrok ukośny, kroki najczęściej powolne, zazwyczaj małowówność towarzyszy, czasem jednak zbyt uczynna gadatliwość się przyłącza.

Dolegliwości (Symptomata) następne: niespokojność wewnętrzna, udręczenie i gniew pochodzące od niezadowolonego uczynienia ciała, myśli i uprzedzeniu cierpiącego, nuda z przyczyny samotności, takie bowiem osoby, rzadko znaleźć mogą towarzysza swych grymasów.

Do przyczyn rodzących *Dumę*, liczą się *ród* urzędy i majątek, w tym bowiem razie gaz zwany *hollenderskim*, wydobywający się ze szkatuły złotem napchaney, przejmując ciało dziedzica, wkrada się do tkanek komorkowatę, i sprawia wydęcie ciała, i inne znaki. *2re*: Mniemana zbyt uczynność, a w ówczas wyrabiającemu się w nich gazowi *miłości własney*, wszystkie skutki przypisać należy. *3cie*: Chęć utrzymania dawnego tonu nawet po stracie majątku. Nakoniec, powstaje jeszcze ta choroba od nie mogący się dostrzedz przyczyny, i chyba tylko w samych myślach chorego i wyobrażonem o sobie szczęściu, a priori śledzićby ję należało.

Poznanie (Diagnosis) téy choroby nie jest małą rzeczą. Można bowiem naznaczyć dwa gatunki *Dumy*, prawdziwa i fałszy-

wa. Przez fałszywą *Dumę* rozumie się ułożenie naturalne człowieka, które wszystkie prawie znaki *Dumy prawdziwéy* przedstawia; lecz bliższe takowéy osoby poznanie dostatecznie przekonać może o stanie zdrowia. *Prawdziwa* odznacza się szczególniéy żądzą widzenia przed sobą czolgających się i pogardą równych nawet sobie istot. Łączy się ona częstokroć z chorobami *Pseudo-hrabia* i *Fanfaronia vera*.

Zeyście (Prognosis) *Dumy* nie pewne. Jeśli chory jest młodego wieku, przez pilne leczenie wyprowadzonym z niéy bydz może. W dojrzalszym wieku trudna i uparta do leczenia. Kończy się czasem ta choroba powszechną pogardą, a stąd melancholią lub waryacją.

Leczenie (Cura) stosownie do przyczyn podane jest przez czułych na cierpiącą ludzkość lekarzy. Gdy pieniądze lub zaszczyty, są źródłem téy dziwnéy i nieznośnéy choroby, dosyć jest, aby przytomny temu paroxyzmowi dowiódł naydoskonaléy, iż nie dba o jego łaskę. *Duma* rodząca się z pretensyi do uczoności, znosi się przez okazanie ludzi od niego uczeńszych, a niepodległych téy chorobie. Jeśli pamięć piérwszego bytu, uporczywie tę chorobę utrzymuje, w ówczas okazany trzos złota, i ofiarowanie go na pożyczkę, lub nastreżenie kredytora, lub wreszcie przypomnienie exdy-

wizyi nie zawodném jest środkiem; natychmiast bowiem nadęcie osiada, głowa z grzbietem raptem na dół spada, a ręce chwytają się kolan przytomnego lekarza. Gdy zaś przyczyny naznaczyć trudno, i chyba przez domyślność ją dochodzić, nader skutecznym jest lekarstwem *Pogarda*.

Ponieważ zaś ta choroba zdaje się do Epidemicznych należeć, przeto policya Medyczna winna rozprzestrzeniać swą baczną władzę, a opiekuńczy rząd zechce budować domy poprawy. W tych zakładach dobroczynnych czuwający lekarze, łącniéy dobierają środków zbawiennych, które wedle stanu chorego, gatunku i przyczyny choroby, rozmaicie stosować się mogą. Główném postępowaniem w domach poprawy jest dostarczenie, ile tylko można śmiechu i pogardy, co gdy się okaże bezskutecznym, używać należy środków specyficznych w zwyczaj wyrażonych.

Chęć udzielenia prędkóy szanownemu zgromadzeniu mych obserwacyi względem choroby, o którój wytępienie każdy czuł o dobro społeczności starać się powinien, zmusiła mię, iż pokrótce daję tylko opisanie. Spodziewam się przy głębszém i ściślejszém zaciekaniu, odkryć wiele innych przyczyn i sposobów leczenia, a nawet i podane środki mogą być odmienionemi, jeśli po doświadczeniu okażą się słabo dzia-

łajacémi, lub bezskuteczniémi. Trudno jest w Medycynie fizycznój trafić od razu na śrzodek doskonały, cóż mówić o Medycynie moralnój? kiedy istota człowieka staje się igrzyskiem namiętności i wad moralnych, które jedne drugim byt dają, wiklą się wzajem, wzmagają się lub gasną, co wszystko zależy od okoliczności i chęci najczęściej samego człowieka. W takim więc zawichrzeniu lekarz naydoskonalszy błakać się musi, jednak nieść pomoc winien jest zawsze.

*Verbaveritatis.*

## PODROŻ NA PARNAS.

S E N.

Już cię nie było na Wileńskim niebie

Swiatłem darzący Febie,

I mroki nocne, Litwy okryły stolicę:

Wtedy łojową zapaliwszy świecę,

Klepałem, jak pacierze, chcąc osadzić w głowie

Z Kochanowskiego „Szlachetne zdrowie”

Tymczasem bożek, który na poduszkach siedzi

I śpiących powieki zlepia,

Na mnie powoli swój balsam cedzi

I oczy zlekka zasklepia.

Usnąłem. .... zaraz myśli płochych roje

Po rozmarzonój głowie się snują;

Jakaś swobodę i łatwość czują;

Powolne na wszelkie skinienie moje.

Więc zasiadam przy stoliku,  
Czuprynę do góry gładzę,  
I w moment, wiershów bez liku

Na papier sadzę.

A poznawszy łeb swój tęgi,  
Długo nie tracąc czasu,

Rzucilem szkolne obmierzłe księgi,

Pobiegłem szukać Parnasu.

Jużem się zbliżał do téj atmosfery,

Która gdy kogo owionie,

Z poetycznego szalu nigdy nieochłonie;

W ówczas mię opanował zawrót głowy szczery,

Lecę prawie bez oddechu,

I przez szczęśliwe zdarzenie,

Spotykam znajomego, z poetów cechu.

Jak się masz? — Kłaniam uniżenie. —

Jest to uczony niepospolity

I prozą dobrze maże i wiersh kuje gładki.

Człowiek do napisów rzadki

A do tego dziejami łeb ciasno nabity.

Dokąd idziesz kolego?

— At! na Parnas się wlekę —

Dayże tu rękę,

Bo tam dążę i ego.

Ukarmiony Muzy mlékkiem,

Na górę bądź mi przewodnikiem.

Drogą..... rozmowa o Bolesławie,

O Kościuszcze Jenerale,

Na Saracenów wyprawie;

A na reszcie w zapale

Łajaliśmy żwawo naturę,  
Ze leniwym krokiem stąpa,  
Wydając jak nasze głowy;  
Ze dla poetów naybardziéy skąpa.  
W tém postrzegamy widok dla mnie nowy  
Owę pożądaną górę.

Nie taka trwoga po Wilnie się szerzy,  
Kiedy nowy przybywa do szubrawców grona,  
Nie taką zdjęta jest strona,  
Kędy Bóg gniewny gromem uderzy,  
Jakam był wtenczas ściśniony,  
Kiedym piérwszy krok nieśmiały  
Stawił na poetów skały.  
Lecz Pupil syna Latony,  
Który był moim Mentorem,  
Siebie stawiając dla mnie wzorem,  
Ożywił ducha w prostaku.  
Wstępujemy.... spóyrzę.... poetów jak maku!  
Lecz cały tłum uczony  
Z uszanowaniem rozstąpił się w strony,  
Gdy uyrzał mego Mentora;  
Co ja mając na względzie  
Wniosłem, że w poetów rzędzie  
Musi to być jakaś znaczna Matadora.  
Na samym szczycie, na wzniesionym tronie  
Siedział Bóg poetów młody,  
W mirty ubrane miał skronie;  
Tron otaczały Epepeje, ody,  
Dramata; daléy fraszki, madrygały,  
I drobiazgów orszak cały.

Przed Majestatem stawiony,  
Oddawszy nizkie pokłony,  
Gdy na Boga uwielbienie,  
Jąkliwe usta otwieram,  
'Twardą odpowiedź odbieram  
„ W głowie twojéy cienie.  
„ Jeszcze widzę jesteś żakiem.  
„ Precz stąd.” Wnet wszyscy do mnie z ku-  
łakiem,  
— A będziesz sławę poetów brudził? —  
Ja uchylając karku przed ciosem,  
Takem o książkę uderzył nosem,  
Zem się przebudził.

*Maurycy Buczyński.*

---

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu exemplarzy dla miéysc prawem przeznaczonych. Dnia 25 miesiąca Maia roku 1818.

*August Becu Prof. Ord. Czl. K. C.*